Lester del Rey

Miejsce lęgowe

(Spawning Ground)

If, September 1961
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Spawning Ground" by Lester del Rey, first publication in If, September 1961. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Statek międzygwiezdny *Pandora* zaskrzypiał i zajęczał, kiedy jego podpory lądownicze osiadły nierówno na błotnistej powierzchni, widocznej na zewnątrz brzydkiej planety. Zdawało się, że sam statek z niecierpliwością usiłuje zakończyć swoją bezużyteczną misję do tego miejsca, położonego dwieście lat świetlnych od hord oczekujących na Ziemi ludzi. Metalowe płyty wzdłuż jego korytarzy, brzęczały i wibrowały z wysiłku.

Kapitan Gwayne zaklął i przetoczył się po koi, sięgając po buty. Był wielkim, kościstym mężczyzną, tuż po czterdziestce, ale dziesięć lat dowodzenia, przygięło mu nieco ramiona i umieściło pod jego zaczerwienionymi oczyma, dodające mu lat worki. Szlaki międzygwiezdne, prowadzące z Ziemi do jej potencjalnych kolonii, były niełatwym miejscem dla podróżujących nimi ludzi. Powłócząc nogami, poszedł w stronę sterówki.

Porucznik Jane Corey uniosła wzrok i skinęła w jego kierunku jasnowłosą głową, podczas gdy Gwayne ruszył prosto ku czajnikowi z nieustannie oczekującą czarną kawą.

— Cześć, Bob. Przydałoby ci się golenie.

— Taaa. — Przełknął gorącą kawę, nie przytrzymując jej w ustach, a potem przesunął ręką po ciemnej szczecinie na swoim podbródku. To mogło jeszcze poczekać. — Działo się coś w nocy?

— Jakiś tuzin kul zebrało się na coś w rodzaju spotkania, kawałek drogi na północ od nas. Rozdzieliły się mniej więcej godzinę temu i pomknęły w chmury. — Kule były ciekawostką tej planety, o której nikt nic nie wiedział. Wyglądały jak przerośnięte pioruny kuliste, ale zdawały się przejawiać niemal rozumną ciekawość odnośnie wszystkiego, co poruszało się po ziemi. — A dwóch kadetów znowu wykradło się na zewnątrz. Barker ruszył za nimi, ale zginęli mu w ciemnościach. Utrzymuję działający namiar, tak by trafili z powrotem.

Gwayne zaklął cicho pod nosem. Ziemia nie była w stanie wykształcić dostatecznie dużej liczby marynarzy w szkołach, tak więc obiecujący chłopcy, w wieku dwunastu lat, wysyłani byli w kosmos w celach szkoleniowych, jako kadeci. Ci dwaj, którzy mu się trafili, Kaufman i Pinelli, zdawali się być kompletnie pozbawieni poczucia elementarnej ostrożności.

Oczywiście, tutaj nie było żadnej widocznej potrzeby zachowania ostrożności. Kule raczej nie wyglądały na niebezpieczne, a miejscowe zwierzęta, najwidoczniej, co do jednego były roślinożerne i zupełnie nieszkodliwe. Wyglądały dosyć paskudnie, były podobne do owadów, pomimo tego, że miały szkielety wewnętrzne. Posiadały bowiem segmentowane ciała, z których wystawało od czterech do kilkunastu odnóży. Żadne z nich nie zachowywało się jak niebezpieczne drapieżniki.

Coś jednak się stało z wyprawą badawczą sprzed piętnastu lat i nieco późniejszym statkiem dowodzonym przez Hennessy'ego, który przysłany został aby sprawdzić co się dzieje.

Odwrócił się do portu widokowego, aby wyjrzeć na zewnątrz, na planetę. Gwiazda typu słonecznego, musiała już zacząć wschodzić, ponieważ na wschodzie widać było przyćmione światło. Jednak gęste chmury, otaczające całą planetę, rozpraszały jej promienie w jasną mgiełkę. Dla odmiany, przestało padać, chociaż ziemia pokryta była gęstymi kłębami mgły. W oddali, wierzchołki tworzących gęste zarośla krzewów, jaśniały żółto-zieloną poświatą. Ruchy wokół nich sugerowały, że znajduje się tam stado pasących się zwierząt. Szczegółów jednak nie dawało się dojrzeć przez mgłę. Nawet głęboki wąwóz, w którym znaleźli starannie zakopany statek Hennessy'ego, był całkowicie skryty we mgle.

Nad stadem pasących się zwierząt, pojawiły się trzy tańczące w powietrzu kule. Gwayne przyglądał się im przez minutę, próbując odkryć jakiś sens w zachowaniu tych stworzeń. Gdyby tylko miał czas, by je dokładnie przebadać… Ale czasu nie miał.

Ziemia rozkazała mu, aby nadłożył drogi i zajrzał tutaj, po pozostawieniu ładunku pogrążonych w głębokim-śnie kolonistów, na Official World 71, aby poszukać śladów Hennessy'ego. Siedział tutaj już i tak tydzień dłużej, niż planował wcześniej. Jeżeli w ciągu najbliższych paru dni nie znajdzie żadnych oznak tego, co się stało z ludźmi, którzy opuścili swój statek, porzucając całe wyposażenie, będzie musiał wracać.

Odleciał by już wcześniej, gdyby ostatnie osunięcia gruntu, nie odsłoniły wystarczająco dużo pogrzebanego statku, aby lokalizatory metalu mogły szczęśliwie wykryć go z powietrza. W oczywisty sposób, pierwotnie był on zakopany zbyt głęboko, by detektory mogły zadziałać.

— Bob! — Głos Jane Corey przerwał jego rozmyślania. — Bob, dzieci są tam!

Zanim zdążył odwrócić głowę, aby spojrzeć w miejsce wskazywane przez jej palec, kątem oka pochwycił jakiś ruch.

Kule pozostawiły stado. Teraz cała trójka mknęła z fantastyczną prędkością w położone w pobliżu statku miejsce, aby zawisnąć z podnieceniem nad czymś, co tam się poruszało.

Potem, tuż po zauważeniu ruchu we mgle, zobaczył dwóch kadetów, zmierzających z powrotem ku oczekującemu statkowi.

Cokolwiek wywołało ten wir we mgle, musiało dotrzeć na wyższy poziom terenu. Ponad mgłą coś zaczęło się z niej wynurzać. Było za daleko, aby wyraźnie to dostrzec, ale Gwayne chwycił za mikrofon i zaczął krzyczeć przez radio do kadetów.

Musieli sami to zobaczyć, dokładnie w chwili, kiedy dotarło do nich wezwanie kapitana. Młody Kaufman złapał Pinellego i obaj razem obrócili się do tyłu.

Wtedy tumany mgły się rozeszły.

Pod tańczącymi kulami, w stronę kadetów kierowała się horda stworzeń. Kudłate łby, zwierzęce ciała, jakoś mgliście przypominające ludzkie kształty! Jedno z nich wydawało się mieć niemal osiem stóp wysokości, prowadząc pozostałe prosto na ubranych w skafandry

kosmiczne kadetów. Niektórzy z tej chordy zdawali się trzymać włócznie, czy też kije. Na chwilę się zatrzymały, a potem przywódca uniósł jedną rękę, tak jakby popędzając innych naprzód.

— Wyślij jeepy na zewnątrz! — wrzasnął Gwayne do Jane.

Szarpnął za drzwiczki małej windy oficerskiej, otworzył je, wskoczył do środka i walnął przycisk na dół. Była to męcząco powolna podróż, ale szybsza niż zbieganie po schodkach. Pociągnął ponownie drzwiczki, na pokładzie wyjściowym. Ludzie zbiegali się ze wszystkich stron, kłębiąc się dookoła w zamieszaniu. Ktoś jednak właśnie, złapał wszystko w garść – jedna z kobiet-marynarzy. Jeepy ustawiały się w rząd. Pierwszy z nich, zaczął grzechotać silnikiem i Gwayne dopadł do niego dokładnie w chwili, gdy właz portu wyjściowego odsunął się do tyłu.

Nie było czasu na zakładanie skafandrów czy hełmów. Powietrze na planecie było irytujące i paskudnie cuchnęło, ale można było nim oddychać. Gwayne wskoczył na siedzenie i zauważył, że kierowcą jest doktor Barker. Na jego gest, jeep potoczył się w dół, po rampie, zmieniając bieg na drugi, kiedy nabrał prędkości. Pozostałe dwa podążały za nim.

Początkowo nie było widać nawet śladu kadetów. Potem Gwayne spostrzegł ich, jak stoją otoczeni przez groźną hordę. Widziane z tego miejsca, stworzenia wyglądały straszliwie, jak jakaś potworna parodia ludzi.

Ogromny przywódca nagle machnął ręką i wskazał nią w stronę jeepów, pędzących w jego kierunku. Wykonał fantastyczny skok do tyłu. Pozostałe odwróciły się, dwa chwyciły kadetów. Jeep jechał już z szybkością dwudziestu mil na godzinę, ale horda zaczęła powiększać dystans, pomimo tego, że była obciążona dwoma szarpiącymi się kadetami! Stworzenia zanurkowały w zagłębienie terenu, zaczynając znikać w kłębach mgły.

— Jedź za kulami — krzyknął Gwayne. Uświadomił sobie teraz, że postąpił jak głupiec, zostawiając skafander na statku; radio pozwoliłoby mu zachowanie kontaktu z chłopcami. Ale było już za późno, aby wracać.

Kule tańczyły nad hordą. Barker pchnął jeepa w dół, w wąwóz. Gdzieś ten człowiek nauczył się doskonale prowadzić, ale musiał zwolnić, ponieważ mgła coraz bardziej gęstniała w miarę jazdy w dół.

Wtedy nagle rozeszła się, pokazując tłum stworzeń zawracających po własnych śladach, aby zdezorientować ścigających.

Nie było czasu na to, aby się zatrzymać. Jeep przeorał szeregi obcych. Gwayne pochwycił widok pięciostopowych ciał uskakujących im z drogi. Monstrualnie prymitywne twarze były na wpół skryte przez gęstą mgłę. Rzucona spoza przedniej szyby włócznia zagrzechotała na niej i Gwayne złapał ją, zanim uszkodziła kierownicę. Miała groźnie zakończony szpiczasty grot z kamienia.

Kiedy Barker walczył z jeepem, aby zawrócić i pojechać za stworzeniami, zniknęły one we mgle. Sądząc po odgłosach silników, pozostałe jeepy zbliżały się do nich, ale za późno aby pomóc. Musieli dogonić grupę z kadetami natychmiast, albo horda zupełnie zniknie w zagłębieniu terenu, skryta przez mgłę.

Kula runęła w dół, niemal dotykając Geayne'a.

Instynktownie wyciągnął rękę do góry. Poczuł mrowienie w dłoni, kiedy stworzenie zdawało się przelatywać wokół niej. Uniosło się jednak o kilka cali i odpłynęło.

Nagle, noga Barkera nadepnęła na hamulec. Gwayne poleciał do przodu, uderzając w przednią szybę, dokładnie w chwili, gdy dostrzegł postać ośmiostopowego przywódcy. Stworzenie stało dokładnie przed nimi, trzymając na każdym z ramion kadeta.

Koła zablokowały się i jeep, protestując z piskiem, poleciał w poślizgu naprzód. Stworzenie odskoczyło do tyłu. Ale Gwayne wyskoczył z jeepa, jeszcze przed zatrzymaniem samochodu, i rzucił się w stronę postaci. Obcy upuścił chłopców, z zaskoczonym chrząknięciem.

Jego ręce były cienkie i wyglądały groteskowo pod masywnymi, zniekształconymi ramionami. Były jednak zdumiewająco silne. Gwayne poczuł jak zaciskają się na nim, kiedy jego dłonie chwyciły za grube gardło. Poczuł w nosie odór obcego ciała i stworzenie upadło na plecy. Doc Barker uderzył w kilka sekund po ataku kapitana. Głowa stworzenia walnęła o skaliste podłoże z tępym, ciężkim odgłosem i ciało obcego zwiotczało. Gwayne powoli puścił je i cofnął się, ale stworzenie leżało nieruchomo, chociaż nadal oddychało.

Nadjechał kolejny jeep i przybyli nim ludzie zaczęli sprawdzać stan kadetów. Pinelli jednocześnie śmiał się i płakał, zaś Kaufman próbował wyrwać się i kopnąć leżącego potwora. Żaden z nich nie odniósł jednak poważniejszej szkody. Wsadzono ich do jeepa, zaś ludzie pomagali Barkerowi i Gwayne'owi załadować związanego potwora do drugiej maszyny, tak by mogli ruszyć z powrotem na statek.

— Nawet śladu naruszenia kości czaszki. Mój Boże, co za twarde bydlę! — Barker pokręcił z niedowierzaniem głową, tak jakby sam odczuł wstrząs upadku potwora.

— Mam taką nadzieję — odparł mu Gwayne. — Potrzebuję, tego stworzenia żywego – a twoim zadaniem jest utrzymanie go przy życiu i przywrócenie do przytomności. Zorientuj się, czy zna jakąś mowę znaków, albo potrafi rysować obrazki. Muszę się dowiedzieć, co się stało z Hennessym i dlaczego jego statek został zakopany, tak by nie można było go wykryć. To stworzenie może być odpowiedzią na nasze pytania.

Barker ponuro skinął głową.

— Spróbuję, chociaż nie mogę ryzykować użycia lekarstw na obcym metabolizmie. — Zaciągnął się papierosem, który wcześniej wygrzebał z kieszeni, a potem splunął z obrzydzeniem. Dym tytoniowy i to powietrze tworzyły paskudną kombinację. — Bob, to wszystko ciągle nie ma sensu. Przeczesaliśmy tę planetę w podczerwieni, i nie znaleźliśmy żadnych śladów wiosek tubylców, czy cywilizacji. Musielibyśmy coś znaleźć.

— Może to troglodyci — zastanawiał się Gwayne. — W każdym razie, poślij po mnie, jeśli uda ci się czegokolwiek dowiedzieć. Muszę przygotować statek do startu na Ziemię. Już dawno przekroczyliśmy czas naszego pobytu w tym miejscu.

Raporty od kadetów były satysfakcjonujące. Zostali schwytani i porwani, ale nie wyrządzono im żadnej szkody. Teraz byli bardzo zajęci

odgrywaniem roli małych bohaterów. Gwayne skazał ich na areszt w kwaterach, kiedy tylko znalazł chwilę czasu, wiedząc, że za każdym powtórzeniem, ich opowieści będą robić się tylko coraz barwniejsze i nieść ze sobą coraz mniej informacji.

Gdyby udało się coś wydobyć ze schwytanego stworzenia, mogliby oszczędzić sporo czasu i dowiedzieć się dużo więcej, niż próbując przekopać się przez statek Hennessy'ego. Do tej pory, był on już niemal całkowicie wyczyszczony ze wszystkich śladów. Jedynym sensownym wyjaśnieniem, wydawała się wersja, że zarówno ekspedycja badawcza, jak i wyprawa ratunkowa Hennessy'ego, zostały pokonane przez obcych.

Było to jakieś wyjaśnienie, ale pozostawało całe mnóstwo pytań i wątpliwości. W jaki sposób prymitywni tubylcy dostali się do ludzi Hennessy'ego będących wewnątrz statku? Dlaczego jego paliwo zostało usunięte? Tylko ludzie mogli wiedzieć, jak to zrobić. A kto powiedział tym stworzeniom, że wykrywacze metalu statku kosmicznego, mogą zostać ogłupione przez nieco ponad stustopową warstwę litej skały? Statek został ukryty bardzo sprytnie i tylko przypadkowe osuwisko, zniweczyło całą tę pracę.

Być może nigdy nie uda się uzyskać pełnych wyjaśnień, ale musiał coś znaleźć – i to szybko. Ziemia potrzebowała każdej planety, którą można było uczynić zdatną do zamieszkania, albo ludzkość może być skazana na wyginięcie.

Rasa bezpiecznie przebrnęła przez odkrycie broni atomowej, osiągając trwający przez dwa stulecia pokój. Udało jej się zapobiec wojnie międzyplanetarnej z wenusjańskimi kolonistami. Odkryła napęd, który poprowadził ją do gwiazd i nie znalazła inteligentnego życia, stanowiącego jakieś zagrożenie.

Ale czterdzieści lat temu obserwacje spoza Układu Słonecznego, wykazały, że Słońce miało przejść w nową.

Nie miało być aż tak wielkiej eksplozji, jak to się zwykle dzieje – ale i tak spowoduje to, że Układ Słoneczny stanie się na milenia niezdatny do zamieszkania. Aby przetrwać, ludzkość musiała kolonizować.

A nie było żadnych planet tak idealnie dopasowanych do niej, jak Ziemia. Badacze z desperacją wędrowali po kosmosie, próbując znaleźć co się da. A wtedy wielkie statki wypełniały planetę kolonistami, przewożonymi w głębokim-śnie, aby zaoszczędzić miejsca.

Prawie osiemdziesiąt planet. Najbliższa położona była o cztery miesiące podróży z Ziemi i dodatkowe cztery miesiące z powrotem.

Po kolejnych dziesięciu latach, słońce miało wybuchnąć, pozostawiając ludzkość tylko na tych przyczółkach, na których próbowała się ona okopać w innych systemach słonecznych. Być może niektóre z tych obcych planet pozwolą ludziom na ponownie rozsianie swojego ziarna. A być może, pomimo wszystkich wysiłków, żadna z nich nie stanie się miejscem lęgowym ludzkości. Każda z nich była jednak dla rasy cenna, jako przystań.

Gdyby tę planetę dało się wykorzystać, byłaby położona bliżej, niż większość pozostałych. Jeśli nie, tak jak to się w tej chwili wydawało, nie warto było marnować tu ani chwili dłużej.

Tubylcy byli do pokonania, być może. Odebranie im ich planety, to czyn okrutny i niesprawiedliwy, ale pierwszym nakazem było przetrwanie.

Tylko jak prymitywni tubylcy mogli zrobić to, co tu musiało się stać?

Przyglądał się włóczni, którą zabrał ze sobą. Ostrze osadzone było na drzewcu, zbudowanym ze scalonych mniejszych kawałków drewna z rosnących wokół krzewów, umiejętnie laminowanych. Sam grot zrobiono z delikatnie zastruganego krzemienia, przy tym wykonano go tak, jak żaden człowiek nie potrafił tego zrobić od wielu setek lat.

— Piękna, pierwotna robota — wymamrotał.

Jane odsunęła od warg kubek z kawą i parsknęła.

— Tam na zewnątrz możesz obejrzeć dużo więcej takich rzeczy — zasugerowała.

Podszedł do portu widokowego i wyjrzał na dwór. Około sześćdziesięciu stworzeń przycupnęło w rozpraszającej się mgle, trzymając w ręku lance i spoglądając na statek. Znajdowali się może tysiąc jardów od niego, cierpliwie czekając. Na co? Na powrót swojego przywódcy – czy też na coś, co wydałoby statek w ich ręce?

Gwayne zadzwonił do Barkera.

— Jak się ma nasz jeniec?

Głos Barkera zabrzmiał dziwnie, ale Gwayne tego nie zauważył.

— Fizycznie, w porządku. Możesz się z nim w każdej chwili zobaczyć. Ale…

Gwayne rzucił słuchawkę i poszedł do małego ambulatorium. Klął pod nosem na Doca, że nie zawiadomił go od razu i na siebie samego, że nie sprawdził wcześniej. W pewnej chwili zatrzymał się, na dźwięk głosów.

Był to koniec pytania Barkera i szorstki, ochrypły, warczący odgłos, który uniósł włosy na karku Gwayne’a. Barker zdawało się, że zrozumiał odpowiedź i właśnie ją komentował, kiedy kapitan wpadł do środka.

Jeniec siedział na koi, rozwiązany i dziwnie tracąc niebezpieczny wygląd. Grube rysy twarzy były odprężone, a jednak jakoś skupione. Kiedy zauważył wejście Gwayne’a, wydawało się, że wykonał coś w rodzaju salutu a jego wzrok ewidentnie rozjarzył się, na widok godła na czapce oficerskiej.

— Withaaj, Kabbitaan! — powiedziało stworzenie.

— Kapitanie Gwayne, proszę pozwolić, że przedstawię panu pańskiego dawnego przyjaciela, Hennessy’ego — oświadczył Barker. Na wargach doktora nie było cienia uśmiechu, a twarz miał stężałą z napięcia.

Stworzenie powoli przytaknęło głową i wyciągnęło coś z gęstych włosów na swojej głowie. Była to złota, kapitańska kometa.

— Nie miał zamiaru skrzywdzić chłopców – chciał tylko z nimi porozmawiać — szybko wtrącił Barker. — Opowiedział mi część swojej historii. Zmienił się. Nie potrafi dobrze mówić. Jak twierdzi, musieli dostosować wykorzystywany język, do dźwięków jakie byli w stanie wydawać i zapomniał jak się używa języka angielskiego. Ale pójdzie łatwiej, kiedy pan będzie słuchał. To Hennessy.

Gwayne miał własny pomysł jak to sprawdzić. Obcy mógł bez trudu zdobyć złotą odznakę, zabierając ją schwytanemu kapitanowi, i nawet być może nauczyć się angielskiego. Ale Hennessy był jego przyjacielem.

— Ile barmanek jest w Cheshire Cat? Ile szczeniaków ma pies twojego najstarszego chłopaka? Ile z nich jest brązowych?

Wargi stworzenia wykrzywiły się w czymś mgliście przypominającym uśmiech, a dziwacznie uformowane palce, które były w stanie obsługiwać sprzęt nie stworzony przez ludzi, wyciągnęły się do przodu.

Trzy. Siedem. Zero.

Odpowiedzi były poprawne.

Do czasu zakończenia sesji, Gwayne zaczął już lepiej rozumieć poprzekręcane dźwięki mowy, wydawanej przez nieludzkie struny głosowe. Ale przekazywanie całej historii, zajęło wiele czasu.

Kiedy została ona zakończona, Gwayne i Barker siedzieli przez kilka długich minut w milczeniu. W końcu Gwayne wciągnął drżący oddech i wstał.

— Doc, czy to jest możliwe?

— Nie — stanowczo odparł Barker. Rozłożył ręce i wykrzywił twarz w grymasie. — Nie. Nie, przynajmniej zgodnie z moją wiedzą. Ale, to się przecież stało. Oglądałem kilka próbek jego tkanek pod mikroskopem. Są tam zmiany. Trudno uwierzyć, w to czego dowiedziałem się o ich dzieciach. Dorastają w ciągu ośmiu lat, ale są niższe. Ale to nie mogą być zmiany dziedziczne – to co zmodyfikowało ich ciała, nie zmieniło plazmy zarodkowej. Ale, w tym przypadku czynnik, który zmienił Hennessy'ego jest rzeczywisty, a więc ta zmiana, jaką przeszedł, może jest naprawdę tak rzeczywista jak on twierdzi.

Gwayne odprowadził dawnego Hennessy'ego do wyjścia. Czekające krople, pomknęły w dół, aby dotknąć potwornego człowieka, a potem z powrotem skoczyły do góry. Tłum potworów zaczął przemieszczać się do przodu, w kierunku swojego przywódcy. Parę z nich było niemal równie wysokich jak Hennessy, ale większość nie miała więcej niż pięć stóp wzrostu.

Dzieci członków wyprawy badawczej.

Siedząc ponownie w sterówce, Gwayne znalazł konsolę awaryjnego zrzutu paliwa, wybrał odpowiednie kombinacje i nacisnął przycisk. Rozległ się syk i bulgot, kiedy wielkie zbiorniki paliwa wypuściły swoją zawartość na ziemię, z której nikt i nigdy nie będzie w stanie go odzyskać, tak by ponownie obudzić statek do życia.

Będzie musiał wyjaśnić to później mężczyznom i kobietom wchodzącym w skład załogi. Zrobi to jednak wtedy, kiedy zorganizuje już wszystko i będzie mógł przedstawić im sprawy w sposób, jaki będą w stanie zaakceptować. I to pomimo faktu, że może im się to zupełnie nie podobać. Nie jednak mógł odkładać przekazania zarysu najważniejszych wyjaśnień Jane.

— To były kule — podsumował wszystko. — Wydaje się, że ludzie je bawią. Nic od nas nie chcą, ale lubią, byśmy byli w pobliżu. Hennessy nie wie dlaczego. Potrafią modyfikować nasze komórki, przystosowywać nas. Przed przybyciem ludzi, wszystkie żywe istoty, miały tutaj dwanaście nóg. Teraz zaczynają to zmieniać, jak sami widzieliśmy.

— I żeby to zrobić, wcale nie muszą podejść blisko nas. Wszyscy byliśmy poza statkiem. Jeszcze nic nie widać – ale zostaliśmy odmienieni.

W ciągu miesiąca, ziemskie jedzenie stanie się dla nas śmiertelną trucizną. Musimy zostać tutaj. Tym razem zakopiemy statki jeszcze głębiej i Ziemia nas nie znajdzie. Nie zaryzykują kolejnej próby utworzenia kolonii w miejscu, gdzie zniknęły trzy statki, tak więc po prostu znikniemy.

Nikt się nie dowie. Ich dzieci – dziwne dzieci, które będą dorastać w wieku ośmiu lat – po trzech pokoleniach staną się prymitywnymi dzikusami. Narzędzia z Ziemi będą bezużyteczne, nie można będzie z nich korzystać mając tak radykalnie zmienione ręce. Nic na temat statku nie przetrwa. Przy pomocy nowych oczu nie da się czytać książek. Z czasem Ziemia, dla mieszkańców tej planety, nie pozostanie nawet wspomnieniem.

Milczała przez dłuższą chwilę, spoglądając przez port na świat, który od teraz będzie musiał być jej domem. Potem głęboko westchnęła.

— Będziesz musiał tę przemowę jeszcze trochę poćwiczyć, Bob, ale na szczęście tamci nie znają cię tak dobrze jak ja. Myślę, że damy radę tak ją poprawić, by inni w to wszystko uwierzyli. A teraz i tak jest już za późno. Ale przyznaj się, tak naprawdę, to jeszcze wcale nie zostaliśmy przemienieni?

— Nie — przyznał. Niech diabli wezmą ten jego głos. Nigdy nie był zbyt dobry w kłamstwie. — Nie. Muszą nas dotknąć. Mnie już dotknęły, ale reszta mogłaby wrócić do domu.

Skinęła głową. Czekał na wyrzuty i potępienie, ale na jej twarzy widać było tylko zmieszanie.

— Dlaczego?

Ale po chwili, zanim jeszcze zdążył jej odpowiedzieć, własny umysł podpowiedział jej tę samą odpowiedź, do której doszedł i on.

— Miejsce lęgowe!

To było jedyne, co mogli zrobić. Ziemia potrzebowała miejsca, w którym zasieje ziarno swojego życia, ale żadnej planecie poza Ziemią nigdy nie będzie można zaufać, że przechowa ten posiew pokolenie za pokoleniem. Niektóre z planet już zaczęły stawać się pod tym względem wątpliwe.

Tutaj jednak, kule dostosowywały ludzi do obcej planety, zamiast adaptować całą planetę do potrzeb ludzi. Tutaj, dziwaczne dzieci ludzkiej rasy mogły rozmnażać się, rozwijać i rozpocząć długą drogę powrotną w kierunku cywilizacji. Narzędzia zostaną utracone tylko tymczasowo. Ale być może, coś z psychiki cywilizowanego człowieka pozostanie, aby uczynić następny wzlot ku cywilizacji lepszym.

— Jesteśmy tu potrzebni — powiedział do niej. W jego głosie słychać było prośbę o zrozumienie, którego sam sobie nie potrafił w pełni udzielić. — Ci ludzie potrzebują tak bogatego zróżnicowania krwi, jakie tylko jest możliwe. Pięćdziesiątka mężczyzn i kobiet z tego statku, będzie niezbędna, by mogli rozpocząć z uczciwą szansą. Nie możemy odlecieć na Ziemię, gdzie nikt nie uwierzy, ani nie zaakceptuje tej idei – ani też nie pozwoli nam wrócić tutaj. Musimy tu zostać.

Uśmiechnęła i przysunęła się do niego, jakby szukając jego siły.

— Bądźcie płodni — wyszeptała. — Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię.

— Nie — poprawił ją, — zaludnili gwiazdy.

Ale już go nie słuchała. Ta część mogła zaczekać.

Pewnego dnia, jednak, ich dzieci znów znajdą drogę na międzygwiezdne szlaki, szukając innych planet. Z kulami, które będą im pomagać, zaadaptują się niemal do każdej planety. Niezmienny duch będzie ich prowadził przez cały kosmos i zmieniając ciała, zajmą niezliczoną liczbę planet.

Pewnego dnia, cały wszechświat stanie się miejscem lęgowym dla dzieci ludzkości!

KONIEC